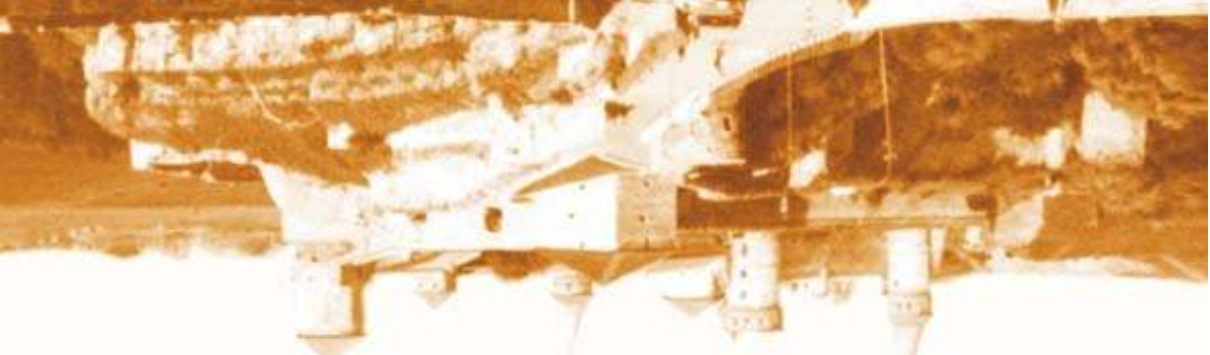
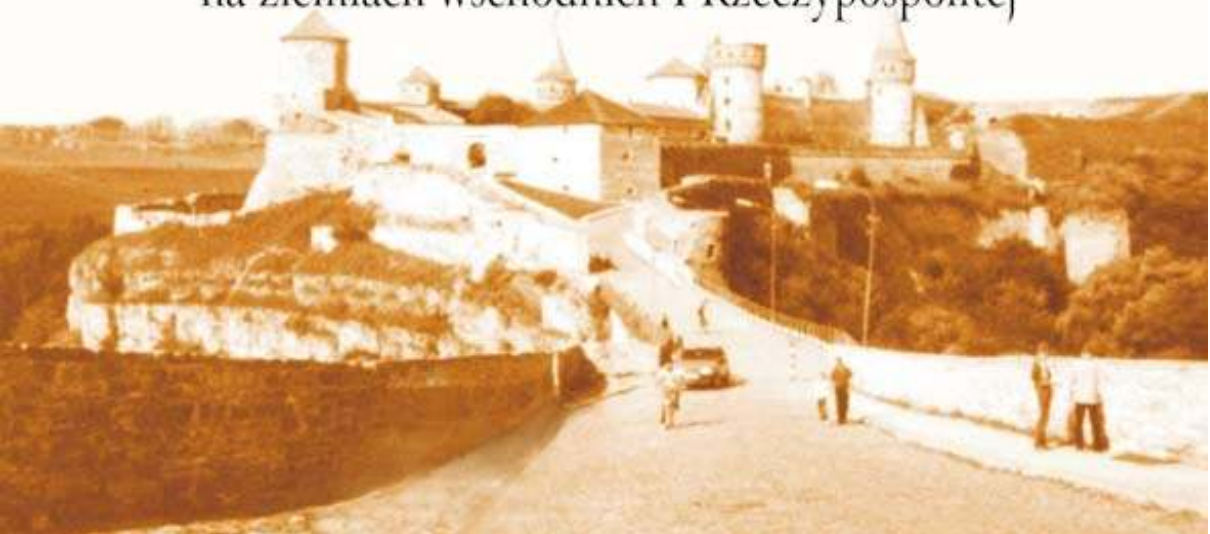




Od Smoleńska po Dzikie Pola

Trwanie Polaków
na ziemiach wschodnich I Rzeczypospolitej



TERESA SIEDLAR-KOŁYSZKO

Od Smoleńska po Dzikie Pola

Teresa Siedlar-Kołyszko

Od Smoleńska po Dzikie Pola

Trwanie Polaków
na ziemiach wschodnich I Rzeczypospolitej



Kraków 2008

© Copyright by Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2008

Wydanie I – Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1998

Redakcja:

Edyta Malinowska-Klimiuk

Korekta:

Magdalena Polek

Projekt okładki:

Ewa Beniak-Haremska

Zdjęcia:

Teresa Siedlar-Kołyszko

Publikacja dofinansowana
przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie

ISBN 978-83-7308-953-2

Oficyna Wydawnicza „Impuls”

30-619 Kraków, ul. Turniejowa 59/5

tel. (012) 422-41-80, fax (012) 422-59-47

www.impulsoficyna.com.pl, e-mail: impuls@impulsoficyna.com.pl

Wydanie II poprawione i poszerzone, Kraków 2008

Spis treści

Słowo od autorki	7
Smoleńsk	13
Jazda do Orszy... ..	20
Daleko za Dźwiną	31
Na ziemi witebskiej	39
W drodze do Połocka	47
Przekroczyłam Berezynę	55
Boże, Wielki Boże, nie ma Kałużyc!	65
W Mohylowie nad Dnieprem	73
W Mińsku	82
W kowieńskiej dolinie	89
Na Laudzie	98
W ciągle bardzo polskim Żytomierzu	106
...Na Berdyczów!	116
W Gródku na Podolu	126
Kamieniec Podolski	138
Listy z Kamieńca Podolskiego	150
Pod Chocimiem	161
W Barze na Podolu	170
W Winnicy nad Bohem	179

W kresowej stancy 193	193
Tulczyn 200	200
Sofiówka... 207	207
Polacy w Kijowie 215	215
Fastów, czyli Chwastów 224	224
Dnieprodzierżyńsk 237	237
U stóp Kudaku 248	248
W Czerkasach nad Dnieprem 256	256
Tymoszkówka 265	265
Ojciec Martian Darzycki – bernardyn 273	273
Stepem szerokim 284	284

Słowo od autorki

Słońce miało się ku zachodowi, gdy pierwsza idąca w przodku chorągiew laudańska ujrzała wieże stolicy. Na ów widok radosny okrzyk wyrwał się z piersi żołnierstwa:

– Warszawa, Warszawa!

Okrzyk ów przeleciał jak grzmot przez wszystkie chorągwie i przez jakiś czas słysząc było na pół mili drogi powtarzane ustawicznie słowo: „Warszawa, Warszawa”.

Wielu Sapieżyńskich rycerzy nigdy nie było w stolicy, wielu nigdy jej nie widziało, więc jej widok wywarł na nich wrażenie nadzwyczajne. Mimo woli wstrzymali wszyscy konie; niektórzy pozdejmowali czapki, inni poczęli się żegnać, niektórym łzy ciurkiem popłynęły z oczu i stali wzruszeni, milczący.

Nagle pan Sapieha pojawił się na białym koniu od ostatnich zastępów i począł lecieć wzdłuż chorągwi.

– Mości panowie! – wołał donośnym głosem – my tu pierwsi, nam szczęście! nam honor!... Wyżeniem Szweda ze stolicy!!...

– Wyżeniem! – zawrzało dwanaście tysięcy litewskich piersi. [...]

– Effendi! – rzekł do Kmicica – wojska królewskie za Wisłą widać!

Porwali się na to wszyscy na równe nogi i wypadli przed się. Król istotnie przybył. Najpierw przyciągnęły tatarskie chorągwie pod Subaghazim [...]. Za nimi nadeszło wojsko koronne, mnogie i dobrze uzbrojone, a przede wszystkim pełne zapachu [...]. Sapieha czekał na króla z uszykowanymi jak do bitwy chorągwiami stojącymi wzdłuż, jedna podle drugiej, na kształt niezmiernego muru, którego końca okiem trudno było dosięgnąć. Rotmistrze stali przed pułkami, przy nich chorążowie, każdy z rozpuszczonym znakiem; trąby, kotły, krzywuły, bębny i litaury czyniły zgiełk nieopisany. Koronne chorągwie, w miarę jak która przeszła, stawały również naprzeciw

litewskich w ordynku; między jednym a drugim wojskiem zostało na sto kroków pustego miejsca.

Sapieha, trzymając buławę w ręku, wyszedł piechotą na ów pusty majdan, za nim szło kilkunastu przedniejszych wojskowych i cywilnych dygnitarzy. Z drugiej strony, od wojsk koronnych, podjechał król konno na wspaniałym fryzie podarowanym mu jeszcze w Lubowli przez pana marszałka Lubomirskiego [...].

Za nim jechał nuncjusz, ksiądz arcybiskup lwowski, ksiądz biskup kamieniecki, ksiądz nominat łucki, ksiądz Cieciszowski, pan wojewoda krakowski, pan wojewoda ruski [...]. Posunął się Sapieha, jak ongi marszałek koronny, do strzemięcia pańskiego, lecz król, nie czekając, zeskoczył lekko z kulbaki, podbiegł ku Sapieze i nie rzekłszy ani słowa, chwycił go w objęcia.

I chwyciwszy, trzymał długo, na oczach obu wojsk; [...] przyciskał do piersi najwierniejszego sługę swego i ojczyzny, który choć geniuszem nie dorównał innym, który choć czasem pobłądził, przecie poczcziwością wystrzelił nad wszystkie panięta tej Rzeczypospolitej, w wierności nigdy się nie zawahał, poświęcił bez chwili namysłu całą fortunę i od początku wojny piersi za swego monarchę i swój kraj nadstawiał.

Litwini [...], widząc ową dobroć królewską, uczynili na cześć dobrego pana huk tak srogi, że echo niebiosów dosięgło. Odpowiedziały im zaraz jednym grzmotem wojska królewskie i przez czas jakiś nad wrzawą kapeli, nad warczeniem bębnow, nad łoskotem strzałów słychać było tylko okrzyki:

- *Vivat Joannes Casimirus!*
- *Vivant Koroniarze!*
- *Vivant Litwini!*

Tak to oni witali się pod Warszawą. Drżały mury, a za murami Szwedzi¹.

To sugestywnie przez Sienkiewicza opisanie spotkanie dwóch armii jednej Rzeczypospolitej, ta jedność działania i celu w świętej sprawie, obrony wspólnej ojczyzny, stała mi wciąż w oczach, ilekroć wędrowałam po wielkich przestrzeniach Rzeczypospolitej. Szukałam zapisanych w tej ziemi dowodów wspólnej walki i wspólnego budowania, współistnienia przez blisko cztery wieki dwóch narodów i dwóch organizmów państwowych, Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego, których narody miały jednego króla i jedną Ojczyznę – Rzeczypospolitą.

¹ H. Sienkiewicz *Potop*, t. III, PIW, Warszawa 1957, s. 166–169, 189–191.

Wędrując, docierałam na pola walk i wielkich zwycięstw, byłam pod Kłuszynem, Kircholmem i Orszą, byłam pod Połonką i Chocimiem. Stawaliśmy tam wspólnie i wspólnie zwyciężaliśmy, dzięki wspólnemu wysiłkowi zwyciężaliśmy Krzyżaków pod Grunwaldem, trzykrotnie Moskwę pod Orszą i dwa razy Turków pod Chocimiem. Te pola bitewne pozostały tam, daleko, dziś poza granicami, pozostały też groby. Kości oraz wspólnie przelana krew użyźniły niewspólną już ziemię. Daleko poza granicami pozostały gniazda rodzinne wielkich wodzów, uczonych, pisarzy i wieszczów narodowych, wirtuozów i kompozytorów. Widziałam ich domy rodzinne lub ślady po nich. Byłam tam, gdzie urodzili się Kościuszko i Piłsudski, Traugutt i Emilia Plater, Chodkiewicz, Żółkiewski i Jan III Sobieski. Mikołaj Rej, Karpiński i Śniadeccy, Niemcewicz, Orzeszkowa i Iwaszkiewicz, Paderewski, Szymanowski, Karłowicz i Moniuszko. Konwicky, Jasienica, Vincenz i Miłosz. Wreszcie oni – wieszczowie narodu – Słowacki i Mickiewicz.

Wędrowałam dolinami opiewanych w pieśniach i wierszach poetów, rzek, wzduż szmaragdowej Wilii, romantycznej Niewiaży, majestatycznego Niemna. Wsłuchaliwałam się w szmer fal Piny i Prypeci, Muchawca, Berezyny i Świsłoczy. Wpatrywałam w srebrzyście połyskujące fale rozpryskujących się o skały i głązy Dniestru, Prutu i Czeremoszu. Słuchałam rycerskich opowieści nad Smotryczem, Waładynką, Bohem i Dnieprem. Widziałam rękami naszych przodków wznoszone dla obrony granic inkastelowane kościoły, zamki i twierdze albo nikłe resztki pozostałe po nich. Byłam w Braślaviu, Kiejdanach i Birzach, w Krasławiu i Trokach, w Wilnie i Miednikach. W Lidzie i Mirze, w Nowogródku i Nieświeżu, w Mściślawiu za Dnieprem, w Łucku i Lwowie, Kamieńcu Podolskim i Żwańcu, Braławiu, Tulczynie, Humanii i Barze, byłam w Okopach św. Trójcy nad Dniestrem i w Kudaku nad Dnieprem.

Chyliłam głowę przed Matką Boską Budzławską i Latyczowską, Boruńską i Pińską, uczestniczyłam w ponownym wprowadzeniu do kościoła cudownego obrazu w Brześciu. Modliłam się za Ojczyznę u stóp „Ślicznej gwiazdy miasta Lwowa”, ale najdłużej i najczęściej odwiedzam „Tę, co w Ostrej świeci bramie” – najpiękniejszą Ostrobramską.

W kilkunastoletniej wędrówce byłam na wszystkich chyba cmentarzach, a nawet na miejscach, gdzie kiedyś one były. Byłam na małym wiejskim cmentarzu na Żmudzi u grobu babci marszałka Piłsudskiego i u Butrymów w Pacunelach, na mogile powstańców 1863 roku nad Niemnem i żołnierzy 1920 roku w Kobryniu, Lidzie i Wilnie. Byłam na grobach książąt Ciechanowieckich w Mohylowie nad Dnieprem i księcia Światopełka-Mirskiego w Pińsku. Odmówiłam „Wieczne odpoczywanie” za dusze zamordowanych przez Niemców sióstr nazaretanek w Nowogródku i w podziemiach nieświeskiej kolegiaty, gdzie śpią snem wiecznym wszyscy Radziwiłłowie. W Kamieńcu odmówiłam zdrowaśkę za pana Michała, a w Barze – za konfederatów barskich. W Wilnie zapaliłam świece przy płycie Matki i Serca Syna, a we Lwowie – Konopnickiej, Zapolskiej, Ordonowi, Goszczyńskiemu, Grottgerowi, generałowi Kołyszce i najmłodszym żołnierzom Rzeczypospolitej – Orłętom Lwowskim.

Rzeki, mury, kamienie, domy, drzewa, pola bitew – wreszcie wszystko zostało tam, w nie naszej ziemi i wśród obcych. Wszystko odeszło, umarło. Czy tylko tyle pozostało po wielowiekowej spuściźnie?

Otóż nie! Pozostali Oni – Spadkobiercy Wielkiej Królewskiej Rzeczypospolitej. Od Smoleńska po Kudak i dalej wzdłuż Dniepru, Bohu i Dniestru aż po Czarne Morze, na wielkich przestrzeniach byłej Rzeczypospolitej istnieją czysto polskie wioski, mieszkają spadkobiercy laudańskiej szlachty, nadberezyńskich zaścianków, rycerzy osadzanych na rubieżach przez kolejnych królów, dla obrony naszych granic. Można spotkać potomków spolszczonych Szwedów, Francuzów, wiernych nowej ojczyźnie. Żyją w okolicach szlacheckich potomkowie tamtych Bohatyrowiczów, Staniewskich, Zaniewskich i Ejsmontów. W Barze śpiewają w chórze potomkowie konfederatów barskich, a w Kamieńcu do mszy świętej służą Pac i Wiśniowiecki. Po wioskach Wileńszczyzny, Oszmiańskiego i Nowogródzkiego mieszkają jeszcze byli żołnierze AK. W Tulczynie, Peczorze i Stanisławowie pamiętają jeszcze Potockich. W Niemenczynie siedemdziesiąt pięć procent mieszkańców to Polacy. W Solecznickim – dziewięćdziesiąt procent. W Oszmiańskim co najmniej siedemdziesiąt procent. W Żytomierskim mieszka prawie

pół miliona Polaków, a w Gródku Podolskim, już przecież za Zbruczem, jest ich do dziś po wszystkich wywózkach, ucieczkach i mordach sześćdziesiąt pięć procent. Wszędzie, na każdym cmentarzu i w każdym miejscu pamięci, spotkać możesz ich ślady. Biało-czerwone chorągiewki na mogiłkach akowców pod wołającą o pomstę do nieba ruiną kościoła w Grauzyszkach i tablica upamiętniająca ich walkę wmurowana w ormiańskim kościele. Zawsze świeże kwiaty w kwaterze żołnierskiej na Rossie i niedawno odrestaurowany cmentarz żołnierski w Kobryniu. Biało-czerwone kwiaty zatknięte za bramę nieczynnej katedry ormiańskiej we Lwowie i msza święta za duszę pułkownika Wołodyjowskiego w Kamieńcu.

Dzieci, z którymi rozmawiałam, mówią śliczną, śpiewną polszczyzną, a nazywają się Kuncewicze, Mickiewicze, Sienkiewicze, Bohatyrowicze, Doroszkewicze lub Zaborowscy, Zbarascy, Bielscy, Barscy, Niżyńscy, Wołoszynowscy, Jastrzębowscy, Krasnopolscy, Wiśniewscy i Kamińscy. Przetrwali wszystko, wywozili ich do Kazachstanu, na Kołymę i Sybir. Wracali na ziemię przodków, na Inflanty, na Żmudź, Wileńszczyznę, na ukochane Polesie i czarnoziemne Podole. Niszczeni, wynaradawiani, odradzali się od korzeni. Przetrwali. Świadomi swego dziedzictwa, są żywym dowodem istnienia i spadkobiercami Wielkiej Królewskiej Rzeczypospolitej

Byli. Są. Będą. Tak im dopomóż Bóg i Święty Krzyż.

Im w hołdzie książkę tę ofiaruję.

Smoleńsk

Najdalszym bastionem wielkiej Rzeczypospolitej był Smoleńsk. To w Smoleńskim, jak pamiętamy, miał majątności imć pan Andrzej Kmicic. Teraz, by dotrzeć do Smoleńska, trzeba pojechać do Rosji, bo Białoruś – choć w okresie świeżo upieczonej niepodległości – zaczęła wysuwać żądania zwrotu Smoleńska jako miasta białoruskiego (wszystkie granice Białorusi czy Ukrainy ustalane są na podstawie dawnych granic Rzeczypospolitej, bo i na jakiej innej podstawie miałyby być ustalane?), nic z tego nie wyszło. Tak więc pewnego słotnego dnia wsiedliśmy z księdzem Wojtkiem Sokołowskim, młodym proboszczem w Orszy, do brudnego lokalnego pociągu, by dojechać do Krasnoje – stacji granicznej między Białorusią i Rosją. O tym, że Krasnoje jest granicą, dowiedziałam się od księdza, bo poza tym nic na to nie wskazywało. Nie było żołnierzy, nie było celników, nie było nawet odpowiednich napisów ani żadnych informacji na ten temat. Bo takiej granicy w ogóle nie ma! Żłudna jest więc nadzieja polityków, że Białoruś oddziela nas od Rosji. Rosja w Białorusi robi, co jej się żywnie podoba, i na przykład mieszkania, a raczej całe osiedla dla powracających z Niemiec żołnierzy, buduje się w okolicy Brześcia nad Bugiem!

Wracamy jednak do Krasnoje. Na tej malutkiej stacyjce wsiadamy do rosyjskiego pociągu. Tym się on różni od poprzedniego, że jest wielokroć brudniejszy, a krajobraz za oknem – tym, że pola leżą odłogiem. Jest jeszcze jedna różnica. Jedziemy za darmo, bo ani na stacji, ani w pociągu nie mają pieniędzy, żeby wydać resztę. Rzecz w tym, że my mamy już ze sobą nowe ruble, a oni jeszcze nie...

W Smoleńsku, pięknie położonym na wysokim brzegu dniewowym, uderza potworny brud i straszliwe powietrze. Jestem z Krakowa, o którym wiemy, że – niestety – powietrze jest w nim wciąż jeszcze zanieczyszczone, ale to, co zastaję w Smoleńsku, przeraża. Dużo samochodów. Wyziewy źle oczyszczonej benzyny szczypią w oczy i gardło. Powietrze jest szare i gęste, jakby unosiła się nad miastem brudna mgła. Ale to nie mgła – to kurz i spaliny. Dniepr, młody Dniepr, ma barwę brązoworudą. Tak zanieczyszczonej rzeki nie widziałam.

Miasto jest piękne. Stoją dobrze zachowane mury obronne (te zdobywane i zdobyte przez wojska Rzeczypospolitej). Jest i błyszczący złotem wspaniały sobór. Stoi ogromny zbudowany przed pierwszą wojną światową kościół, tyle że nie jest to kościół (ale o tym później). Nic też dziwnego, że chciałam kupić pocztówki, by wysłać je w świat. W księgarni, do której zajrzeliśmy, a na której wystawach roilo się od książek o Leninie, były pocztówki, ale nie mogłam kupić, bo znów nie mieli reszty. Zapomniałam dotąd państwu powiedzieć, że wyjechałam z Orszy do Smoleńska w historycznym dniu wymiany pieniędzy. Był to „sąd-



Mury Smoleńska

ny dzień” w Rosji. Staruszkowie dzień i noc czuwali przed bankami, by swoje nędzne oszczędności, ciułane najczęściej na trumnę, wymienić na nowe ruble. Nikt właściwie nic nie wiedział, bo co chwilę mówiono co innego. Nie wiadano nawet, ile i za ile wymieniają. Tak więc bez pocztówek, ale za to z jeszcze jednym doświadczeniem więcej, skierowaliśmy się do domu sióstr orionistek. Prowadził ksiądz Wojtek i zaprowadził wprost na stary cmentarz. Na moje pytanie, dlaczego akurat tak idziemy, ksiądz odpowiedział:

– Czy ja Pani nie mówiłem, że siostry mieszkają w grobowcu?

I rzeczywiście, kiedy przeszliśmy przez nieprawdopodobnie zdewastowany i obrabowany cmentarz katolicki, na jego skraju ukazał się odnowiony, duży biały grobowiec, wokoło obsadzony nagietkami i groszkiem. W progu stała młodzianka siostra Estera i zapraszała do środka.

– Grobowiec hrabiów Komorowskich – mówi. – My mieszkamy na drugim piętrze. Kiedy go odkryliśmy, był już bardzo zdewastowany, rozkopany, rozpruty. Złożyliśmy doczesne szczątki tej rodziny w piwniczce, ksiądz poświęcił. Nad piwniczką zrobiliśmy niewielką kaplicę dla wiernych, bo w Smoleńsku nie ma w ogóle kościoła, a jest dużo katolików.

Wąskimi schodkami pniemy się w górę do malutkiej, ale schludnej izdebki, gdzie mieszkają siostry. Wyciągamy kanapki z polską kiełbasą, zawinięte w... poszewkę. Ta poszewka była jedyną czystą rzeczą, w którą mogłam zawinąć nasze pożywienie. Papieru białego na całej Białorusi, a tym bardziej w Rosji, nie uświadczysz. Pijemy herbatę i słuchamy opowieści sióstr.

– Przyjechałyśmy tutaj już dwa lata temu, aby wśród tutejszej ludności głosić słowo Boże. Zgodnie z wolą naszego założyciela, błogosławionego Alojzego Oriona, nasze zgromadzenie apostołuje na terenach wschodnich. Dopiero teraz ta wola się wypełniła. Tu w Smoleńsku jest kościół, który w przyszłym roku będzie miał sto lat. Wspaniała budowla w stylu neogotyckim. Niestety, władze nie chcą nam go oddać. Do tej pory znajduje się w nim archiwum. Wciąż słyszymy, że dokumenty mają tam znakomite warunki i wobec tego nie mogą być przeniesione gdzie indziej. Prosimy wszystkich, którzy nas odwiedzają, którzy odwiedzają

Smoleńsk, o pomoc w tej sprawie. A zwłaszcza o modlitwę, ażeby ludzie, od których zależy oddanie kościoła, zmienili zdanie, aby Bóg przemienił ich myślenie. Proboszczem w naszej niedużej wspólnocie, która liczy dwieście osób, jest ojciec franciszkanin, który stara się wraz z parafianami o przejęcie kościoła, ale jak na razie bezskutecznie. Na początku wierni mogli korzystać tylko z naszej maleńkiej kapliczki w grobowcu. Potem, jak nas było więcej, modliliśmy się przed grobowcem. Wreszcie oddano nam (to też nie była łatwa sprawa) stojący na placu przykościelnym drewniany barak, który wspólnie z parafianami wyremontowałyśmy, bo to też była jedna wielka ruina. Tam powstała kaplica na jakieś sto pięćdziesiąt osób i maleńkie pomieszczenie na łóżko dla księdza. Nasza wspólnota to głównie Polacy z Białorusi, z dawnych ziem polskich. Są też Litwini i Rosjanie. Dużo rodzin mieszanych. Ale zawsze ktoś z przodków był Polakiem. Kilka rodzin jest czysto polskich. Jakie są nasze zadania? Po pierwsze uczymy dzieci religii. Uczymy wszyscy, a jest nas tu czworo – trzy siostry i jeden ojciec franciszkanin. Każdy ma swoją grupę. Nieraz pracujemy wspólnie z parafianami na cmentarzu. Dużo



Zbudowany i ufundowany przez Polaków kościół w Smoleńsku – obecnie archiwum

rozmawiamy z ludźmi, oni szukają kontaktu, zaczepiają w sklepie, na ulicy, chcą rozmawiać. Przygotowujemy też wiernych do sakramentów świętych, na przykład do chrztu. Nawet jesteśmy chrzestnymi matkami. Chrzczą się ludzie dorośli świadomie. Bo gdzie mieli się chrzczyć i kto miał to zrobić, skoro najbliższy kościół jest w Moskwie, a więc czterysta kilometrów stąd? Przygotowujemy też do Komunii Świętej i do sakramentu małżeństwa – nieraz ludzi pozostających w cywilnym małżeństwie już dwadzieścia, trzydzieści lat, a w tej chwili chcących przed Bogiem wszystkie sprawy uporządkować. Taki ślub to jest bardzo piękna uroczystość. Wszyscy są bardzo wzruszeni i niesłychanie przejęci. My naturalnie też. Są łzy, ale to łzy szczęścia, spełnionych nadziei. Na przykład moment nakładania obrączek; przecież nieraz są to ludzie starsi, którzy dotąd obrączek nie nosili... Praca misyjna w Smoleńsku daje nam dużo radości. Gdyby jednak nie wiara, na pewno nie wytrzymałybyśmy. Przychodziły momenty załamania, ale dzięki Bożej pomocy wszystko jest możliwe. Ludziom trudno się przestawić, zmiany przyszły przecież nagle. Co najbardziej przeszkadza? Chyba brud? Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Najgorsze są skrzywienia duszy. Taka komunistyczna konserwatywność. Sama nie wiem, jak to opisać. Na przykład przekonanie, że „tak było i tak być musi”, albo „tak myśmy się męczyli i tak dalsze pokolenia muszą się męczyć”. Niby jest swoboda, ale tak naprawdę jej nie ma. Młodzi ludzie, którzy widzieli, że na świecie – choćby już w Polsce – jest inaczej, chcieliby może tę inność wprowadzić tutaj, ale nie wolno, „nie lzia”. A poza tym wciąż niemal wszyscy boją się coś powiedzieć. Ciągłe jest lęk, który widać nawet na twarzach. I jest jeszcze coś naprawdę strasznego w tej mentalności. Na przykład jeśli Polak zrobi coś dobrze, powiedzmy zbuduje ładny dom, to jego sąsiad pomyśli, że też chciałby taki ładny mieć, albo jeszcze ładniejszy, i zabiera się do roboty. Słowem, próbuje rywalizować. A tutaj (tak było i w dalszym ciągu jest) – jeśli komuś wiedzie się lepiej, to trzeba pójść i donieść na niego, że się wzbogacił i tak dalej. Zawistnicy nawet nie próbują zabrać się do roboty, żeby i im było tak jak sąsiadowi, tylko idą i donoszą. To jest gdzieś bardzo głęboko zakodowane, trzeba będzie jeszcze wielu lat, żeby zmienić te nawyki. Bo tu, jak dotąd, każdy każdego się boi, każdy na

każdego donosi, każdy każdemu zazdrości i każdy każdego nienawidzi. Z inicjatywy proboszcza, któremu pomaga przedsiębiorstwo „Sampol”, mające ośrodki w Wiśle, jedna grupa naszych dzieci już tam wypoczywała. Były z tego oczywiście ogromnie zadowolone. Zobaczyły trochę innego życia. Druga grupa znalazła się wśród rodzin w Polsce. Parafie w Piekarach Śląskich i Woźnikach zaprosiły dzieci. Warto te dzieci wysyłać, żeby je choć trochę oczyścić z tego komunistycznego skażenia. Żeby zaczerpnęły czegoś innego, żeby już nie donosiły. Może to mieć wpływ na ich przyszłe życie. W Smoleńsku powstał Związek Polaków. Nasze msze święte są odprawiane po polsku, bo tak życzą sobie wierni. A śpiewamy po polsku, rosyjsku i po łacinie. Najwięcej polskich śla-



Misjonarze – ojciec franciszkanin, siostra orionistka, czyli „załoga” Smoleńska, i ksiądz Wojciech Sokołowski z Orszy

dów było do niedawna na cmentarzu. Jeszcze przed rokiem było wiele płyt z polskimi nazwiskami, ale ostatnio zniszczenie idzie lawinowo – są albo rozbijane, albo wykradane, aby budować pomniki na nowym prawosławnym cmentarzu. Nieliczne płyty udało się odnaleźć, a potem trochę odnowić. Na zakończenie chcę opowiedzieć o kościele i związanym z nim wydarzeniu, które miało wielki wpływ na jednego z naszych przyjaciół. Kościół w Smoleńsku pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny był czynny do 1934 roku. Wtedy zmieniony został na magazyn zbożowy. Natomiast w 1937 roku w uroczysty sposób, przy wielkim zgromadzeniu ludzi, robotników z fabryk, a przede wszystkim dzieci ze szkół smoleńskich i przy wtórze orkiestry wojskowej zerwano z wież krzyże. Świadkiem tego wydarzenia był piętnastoletni wówczas Siergiej Maszkow. Przyszedł tam ze swoim ojcem (bo musiał) i, stojąc na terenie naszego cmentarza, patrzył na to widowisko. Ojciec powiedział do niego: „Patrz, synu, żebyś zapamiętał, nie zapisuj, ale zachowaj w sercu i w pamięci, bo musisz zapamiętać to na całe życie”. Zapamiętał. Dziś pan Maszkow, siedemdziesięcioletni smoleński poeta, należy do naszej wspólnoty katolickiej. Przychodzi na msze święte, śpiewa przepięknie. Czyta lekcje, często tłumaczy homilie księży, którzy nie znają rosyjskiego. Bo właśnie od tego wydarzenia, strącenia krzyży, ojciec postanowił nauczać go języka polskiego. Znalazł mu nauczyciela, polskiego Żyda, i dzięki niemu pan Maszkow umie mówić po polsku. To przywiązanie i miłość do wszystkiego, co polskie, płynie także z korzeni. Pan Maszkow jest bardzo dumny z tego, że jego babcia była Polką. Powiada, że te ciągoty do polskości to jest z e w k r w i, to jego słowa.

Spisane w 1994 roku.

Jazda do Orszy...

Familianci to bowiem byli w Orszańskim Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. [...] Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone¹.

Płomień wojny, rozniecony przez prący na zachód imperializm moskiewski, właściwie nigdy nie przygaśł, a najlepszym dowodem na to jest właśnie Orsza, w której wszystko, co miało jakąś wartość zabytkową, wszystko, co było stare, zostało obrócone w perzynę i dziś, poza paskudnymi blokowiskami i Leninem w samym środku miasta, nie ma w Orszy nic, co by cieszyło oko czy choć przyciągało uwagę. No, może jedynie dwie płynące przez Orszę rzeki, Orszyca i Dniepr. Młodziutki, wąski jeszcze Dniepr przyjmuje tu wody bystro płynącej Orszycy i byłoby to nawet ładne miejsce, gdyby nie kolor rzeki. Orszyca jest tak zanieczyszczona, że wody jej są rudobrazowe.

Niegdyś, przed rozbiorami, w Orszy było siedem kościołów i kilka klasztorów. Niewiele z tego zostało. Kościół właściwie nie ocalał żaden, a w budynku klasztoru pofranciszkańskiego mieszkała przybyła z Rosji biedota, która – doszczętnie zniszczywszy przydzielone izby-cele, wyrwawszy nawet podłogi i framugi okienne – przeniosła się na inne miejsce, po to zapewne, by niszczyć kolejne przydzielone mieszkanie. W klasztorze pobernardyńskim jeszcze funkcjonuje coś w rodzaju szpitala, ale że nie remontowali budynku pewnie też co najmniej od stu

¹ H. Sienkiewicz, *Potop*, t. I, PIW, Warszawa 1957, s. 11.